

# ERNEST HEMINGWAY

## Śmierć po południu

Przełożył Marek Cieślik

MARGINESY

*Death in the Afternoon*

COPYRIGHT © BY Hemingway Foreign Rights Trust /  
Hemingway Copyright Owners 2020. All rights reserved.

COPYRIGHT © FOR THE POLISH TRANSLATION AND AFTERWORD BY  
Marek Cieślík

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY  
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026

Dla Pauline

Podczas pierwszej walki z bykami, na jaką kiedykolwiek poszedłem, spodziewałem się, że przerazi mnie i może nawet przepełni odrazą to, co – jak mi powiedziano – dzieje się z końmi. We wszystkim, co wcześniej czytałem o corridzie, upierano się przy tym argumente; większość piszących o niej osób potępiało kategorycznie walkę z bykami jako coś głupiego i brutalnego, ale nawet ci, którzy mówili o niej dobrze jako o popisie zręczności oraz widowisku, ubolewali nad wykorzystaniem koni i mówili o całej tej kwestii w przeproszającym tonie. Zabijanie koni na arenie uważano za niewybaczalne. Przypuszczam, że ze współczesnej perspektywy moralnej, to jest z perspektywy chrześcijańskiej, cała walka z bykami jest niewybaczalna; jest w niej oczywiście dużo okrucieństwa, zawsze jest niebezpieczeństwo, czy to upragnione, czy niespodziewane, i zawsze jest śmierć, i nie powinienem próbować jej teraz bronić, tylko opowiedzieć szczerze o rzeczach, które – jak odkryłem – są na jej temat prawdą. W tym celu muszę być, lub starać się być, zupełnie szczerzy i jeżeli ci, którzy to przeczytają, uznają ze wstrętem, że napisał to ktoś, komu brakuje ich, czytelniczey, delikatności odczuć, będę mógł tłumaczyć się jedynie, że być może tak jest. Ale ktokolwiek to przeczyta, będzie mógł wydać taki wyrok naprawdę tylko wówczas, jeśli

widział rzeczy, o których się mówi, i wie bez dwóch zdań, jak by na te rzeczy zareagował.

Pamiętam, że kiedyś Gertrude Stein podczas rozmowy o walkach z bykami mówiła o swoim zachwycie Joselitem i pokazywała mi zdjęcia z nim na arenie oraz swoje i Alice Toklas, jak siedzą w pierwszym rzędzie drewnianych barrer na widowni areny w Walencji z Joselitem i jego bratem El Gallem pod nimi, a ja właśnie wróciłem z Bliskiego Wschodu, gdzie Grecy, porzucając Smyrnę, łamali nogi swoim zwierzętom jucznym i wierzchowym i zganiali je, i spychali z nabrzeża do płytkiej wody, i pamiętam, jak powiedziałem, że walki z bykami nie podobają mi się z powodu biednych koni. Próbowałem wtedy pisać i odkryłem, że największą trudność, poza prawdziwym rozumieniem, co się naprawdę czuje, a nie co się powinno czuć i co ktoś nas nauczył czuć, sprawia zapisywanie tego, co się naprawdę wydarza w działaniu; tego, czym są autentyczne rzeczy wywołujące uczucia, jakich się doświadcza. Podczas pisania do gazety człowiek opowiadał, co się zdarzyło, i przy użyciu tej czy innej sztuczki przekazywał emocję wspartą czymś w rodzaju wyczucia chwili, które dodaje pewnej emocji do każdej relacji z tego, co zdarzyło się danego dnia; ale to, co prawdziwe, sekwencja ruchu i faktu, która wywołała tę emocję i która byłaby równie zasadna za rok czy za dziesięć lat, a nawet, jeśli miało się szczęście i ujęło się ją wystarczająco czysto, zawsze, była poza moim zasięgiem i bardzo usilnie pracowałem nad tym, żeby ją uzyskać. Jedyнным miejscem, gdzie można było zobaczyć życie i śmierć, to znaczy: gwałtowną śmierć, teraz, po zakończeniu wojen, była arena corridy, więc bardzo chciałem pojechać do Hiszpanii, gdzie mógłbym ją badać. Próbowałem nauczyć się pisać, poczynając od najprostszych rzeczy, a jedną z najprostszych rzeczy na świecie i najbardziej zasadniczą jest gwał-

towna śmierć. Nie obejmuje ona wprawdzie żadnych problemów związanych ze śmiercią na jakąś chorobę ani z tak zwanym zgonem z przyczyn naturalnych, śmiercią znajomego czy kogoś, kogo się kochało lub nienawidziło, niemniej wciąż jest to śmierć, jeden z tematów, o których można pisać. Czytałem wiele książek, w których próbujący ją oddać autor tworzył tylko rozmazaną plamę, i uznawałem, że dzieje się tak albo dlatego, że ów autor nigdy nie widział jej wyraźnie, albo dlatego, że w chwili gdy następowała, w sensie fizycznym lub mentalnym zamykał oczy, jak można by zrobić, widząc dziecko, którego nie sposób dosięgnąć lub któremu nie da się pomóc, a które za chwilę wpadnie pod pociąg. W takiej sytuacji, jak sądzę, zamknięcie oczu przez autora prawdopodobnie byłoby uzasadnione, jako że jedynym, co mógłby oddać, byłby goły fakt, że dziecko zostanie przejechane przez pociąg, samo przejechanie tworzyłoby przykry i rozczarowujący kontrast, więc przedstawić mógłby chwilę nie dalszą niż poprzedzająca przejechanie. Ale przypadku rozstrzelania przez pluton egzekucyjny lub powieszenia to już nie dotyczy i gdyby te bardzo proste rzeczy miało się utrwalić, tak jak, powiedzmy, starał się je utrwalić Goya w *Los desastres de la guerra*, nie dałoby się tego zrobić przy żadnym zamykaniu oczu. Zdarzyło mi się widzieć pewne rzeczy, pewne proste rzeczy tego rodzaju, które zapamiętałem, ale z powodu brania w nich udziału lub, w innych przypadkach, konieczności pisania o nich tuż po nich i w konsekwencji dostrzegania tego, co było mi potrzebne do ich natychmiastowego zarejestrowania, nigdy nie zdołałem zbadać ich tak, jak można by zbadać na przykład śmierć własnego ojca czy powieszenie kogoś, powiedzmy, kogo się nie znało i o kim nie musiało się napisać tuż potem do pierwszego wydania popołudniówki.

Tak więc wyjechałem do Hiszpanii zobaczyć walki z bykami i próbować pisać o nich z myślą o sobie samym. Myślałem, że będą proste i barbarzyńskie, i okrutne i że mi się nie spodobały, ale że zobaczą jednoznacznie określone działanie, wywołujące we mnie poczucie życia i śmierci, nad którym pracowałem. Jednoznacznie określone działanie odnalazłem; ale walka z bykami była tak odległa od prostoty i spodobała mi się tak bardzo, że okazała się nazbyt złożona, bym mógł poradzić z nią sobie przy użyciu mojego ówczesnego warsztatu pisarskiego, więc nie licząc czterech bardzo krótkich szkiców, nie byłem w stanie napisać o niej niczego przez pięć lat – a żałuję, że nie odczekałem dziesięciu. Gdybym jednak miał czekać odpowiednio długo, pewnie nigdy nie napisałbym niczego, jako że kiedy człowiek naprawdę zaczyna dowiadywać się czegoś o czymkolwiek, ma tendencję i chęć nie do pisania o tym, lecz raczej do dalszego stałego poznawania tego czegoś, i nigdy, chyba że jest wielkim egotystą, co oczywiście wyjaśnia powstanie wielu książek, nie jest zdolny stwierdzić: teraz wiem o tym wszystko i będę o tym pisał. Ja z pewnością nie twierdzę teraz nic takiego; zdaję sobie sprawę, że co roku przybywa więcej rzeczy do poznania, ale już wiem pewne rzeczy, które mogą być obecnie interesujące, a że być może na długo stracę kontakt z *corridą*, równie dobrze mogę już teraz napisać, co o niej wiem. Poza tym może dobrze będzie dysponować książką o walkach z bykami w języku angielskim, a poważna książka na tak niemoralny temat może mieć jakąś wartość.

Na razie co do moralności wiem tylko, że moralne jest to, po czym czujemy się dobrze, a niemoralne to, po czym czujemy się źle, i sądząc według tych standardów moralnych – których nie biorę w obronę – walka z bykami jest moim zdaniem bardzo moralna, bo czuję się bardzo dobrze, kiedy

trwa, i mam poczucie życia i śmierci oraz śmiertelności i nieśmiertelności, a po jej zakończeniu jest mi bardzo smutno, ale i bardzo dobrze. Ponadto nie przejmuję się końmi; nie żebym nie przejmował się nimi dla zasady, ale de facto się nimi nie przejmuję. Bardzo mnie to zaskoczyło, ponieważ nie umiem patrzeć na leżącego na ulicy konia bez odczuwania potrzeby przyścia mu z pomocą, i wielokrotnie rozpościerałem jutowe derki, rozpiniałem uprząż i uskakiwałem przed podkutymi kopytami, i będę robić to dalej, jeśli będzie się wyganiać konie na ulice miasta, kiedy jest dżdżysto i lodowato; na arenie corridy nie czuję jednak zupełnie żadnej grozy czy odrazy na widok tego, co się dzieje z końmi. Zabierałem na walki z bykami wiele osób, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, i widziałem ich reakcje na śmierć i przebijanie koni rogami na arenie; są dość nieprzewidywalne. Kobiet, co do których byłem pewien, że corrida im się spodoba z wyjątkiem brania przez byka koni na rogi, zupełnie to nie wzruszyło; w sensie naprawdę nie wzruszyło, to znaczy: coś, do czego odnosiły się z dezaprobatą i o czym myślały, że nimi wstrząśnie i wzbudzi w nich wstręt, w ogóle nie wzbudziło w nich wstrętu ani nimi nie wstrząsnęło. Inne osoby, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, były tak wstrząśnięte, że fizycznie robiło im się niedobrze. Reakcjami niektórych z tych osób zajmę się szczegółowo później, ale już teraz pozwolę sobie zaznaczyć, że nie było żadnej różnicy ani linii, wzdłuż których można by podzielić ich grono według jakichkolwiek standardów ucywilizowania czy doświadczenia na tych, którzy odczuli wstrząs, i tych, którzy nie poczuli się poruszeni.

Na podstawie obserwacji powiedziałbym, że ludzi być może dałoby się podzielić na dwie ogólne grupy: tych, którzy, że użyję jednego z terminów z żargonu psychologii, identy-

fikują się ze zwierzętami, czyli stawiają się w ich położeniu, i tych, którzy identyfikują się z istotami ludzkimi. Uważam, co wynika zarówno z moich obserwacji, jak i z doświadczenia, że ci, którzy się identyfikują ze zwierzętami, to jest niemal zawodowi miłośnicy psów czy innych czworonogów, są zdolni do większego okrucieństwa wobec istot ludzkich niż ci, którzy nie identyfikują się łatwo ze zwierzętami. Wydaje się, jakby między ludźmi istniał jakiś zasadniczy rozłam w tej kwestii, chociaż osoby, które nie identyfikują się ze zwierzętami, mogą nie przepadać za zwierzętami w sensie ogólnym, ale być zdolne do wielkiej sympatii do konkretnego zwierzęcia, na przykład psa, kota czy konia. Swoje uczucie będą jednak opierać na jakiejś cesze tego konkretnego zwierzęcia lub na jakimś z nim skojarzeniu, a nie na tym, że jest to zwierzę i stąd istota godna miłości. Co do mnie, sam pałałem głębokim uczuciem do trzech różnych kotów, czterech psów, o ile pamiętam, i tylko dwóch koni; to znaczy koni, które posiadałem, których dosiadałem lub którymi powoziłem. Różne konie, które śledziłem, oglądałem podczas wyścigów i obstawiałem, budziły we mnie głęboki podziw, a po postawieniu na nie pieniędzy niemal uczucia; tymi, które pamiętam najlepiej, były: Man of War, Exterminator, myślę, że jego darzyłem szczerą sympatią, Epinard, Kzar, Héros XII, Master Bob oraz koń niepełnej krwi, zaprawiony w gonitwach z przeszkodami jak dwa ostatnie, imieniem Uncas. Wszystkie te zwierzęta budziły we mnie wielki, wielki podziw, ale w jakim stopniu moje uczucia wynikały z postawionych na te konie sum, tego nie wiem. Do Uncasa, kiedy wygrał klasyczną gonitwę z przeszkodami w Auteuil przy szansie powyżej dziesięciu do jednego, z moimi pieniędzmi na grzbiecie, czułem głębokie uczucie. Ale gdyby ktoś mnie spytał, co ostatecznie stało się z tym szla-

chetnym zwierzęciem, za którym tak przepadałem, że podczas rozmowy o nim z Evanem Shipmanem obaj wzruszyliśmy się niemal do łez, musiałbym odpowiedzieć, że nie mam pojęcia\*. Wiem za to, że nie kocham psów jako takich, koni jako takich ani kotów jako takich.

Kwestia tego, dlaczego śmierć konia na arenie corridy nie jest poruszająca, to znaczy nie wzrusza niektórych osób, jest złożona; ale zasadniczą przyczyną może być to, że podczas gdy śmierć byka ma rys tragiczny, śmierć konia na ogół bywa komiczna. W tragedii, jaką stanowi walka z bykiem, koń jest postacią komiczną. Być może brzmi to skandalicznie, ale taka jest prawda. Dlatego też im gorsze są konie, pod warunkiem że znajdują się wystarczająco wysoko nad ziemią i są dość solidne, by pikador mógł spełnić swoją misję ze spiczastym drągiem, czyli varą, tym bardziej komiczny element stanowią. Wypadałoby, żeby człowiek czuł zgrozę i odrazę na widok tych karykatur koni i tego, co się z nimi dzieje, ale nie sposób mieć pewności, że będzie się tak czuł, chyba że o tym zawczasu postanowi, niezależnie od rzeczywistych odczuć. Są tak bardzo niepodobne do koni; w pewnym sensie przypominają ptaki, dowolne niezgrabne ptaki, takie jak marabuty czy trzewikodzioby, a kiedy po podrzuceniu w górę siłą byczych mięśni karku i barków zwisają im nogi, dyndają wielkie kopyta, więdną szyja, a całe umęczone ciało wznosi się na rogu, nie są może komiczne, ale słowo daję, że tragiczne też nie. Cała tragedia koncentruje się w byku i człowieku. Tragiczna kulminacja kariery konia nastąpiła wcześniej, za kulisami, kiedy zo-

\* Przeczytawszy to, pan Shipman informuje mnie, że Uncas po zapadnięciu na zdrowiu służy obecnie jako chabeta pod siodło panu Victorowi Emanuelowi. Wiadomość ta nie wzrusza mnie w żadnym stopniu.

stał kupiony przez dostawcę koni do wykorzystania na arenie corridy. W jakimś sensie koniec na arenie nie wydaje się czymś niestosownym wobec budowy tego zwierzęcia i kiedy na konie naciąga się brezent, a długie nogi, szyje i dziwnie ukształtowane łby w połączeniu z okrywającym ciała brezentem tworzą coś w rodzaju skrzydła, przypominają ptaki bardziej niż kiedykolwiek. Wyglądają trochę jak martwe pelikany. Żywy pelikan to interesujący, zabawny i sympatyczny ptak, choć kiedy weźmie się go na ręce, zaraża wszami, ale martwy pelikan wygląda bardzo głupkowato.

Niniejszy tekst nie jest apologią walk z bykami, lecz próbą całościowego przedstawienia corridy, w tym celu zaś należy przyznać pewne rzeczy, nad którymi dowodzący swojej słuszności apologeta prześliznąłby się lub które by pominął. Komizmem, który przytrafia się wspomnianym koniom, nie jest zatem ich śmierć; śmierć nie jest komiczna i nadaje chwilową godność nawet najbardziej komicznym postaciom, choć godność ta mija po ostatecznym nastąpieniu śmierci; są nim natomiast dziwne i burleskowe wypadki trzewne. Z pewnością nie ma niczego komicznego według naszych standardów w oglądaniu zwierzęcia pozbawionego zawartości trzewi, ale gdy to zwierzę, zamiast robić coś tragicznego, czyli pełnego godności, pędzi sztywnym staropanięńskim galopem wokół areny, wlokąc za sobą przeciwieństwo tumanu chwały, i gdy wleczone przez niego trzewia są prawdziwe, to jest to równie komiczne, jak w skeczu cyrkowych klaunów, braci Fratellinich, w którym za trzewia robią rolki bandaży, pęta kiełbasek i inne akcesoria. Skoro jedna z tych rzeczy jest komiczna, to druga też; humor bierze się z tej samej zasady. Widziałem to, ludzie biegną, koń się opróżnia, jedno poczucie godności za drugim pęka jak bańka mydlana w krwawym rozbryzgu i rozwlecze-

niu najgłębszych wartości, w całkowitej parodii tragedii. Wi-  
dywałem tego typu, powiedzmy, wybebeszenia, niech padnie  
to najgorsze słowo, które z powodu niefortunności momentu  
okazywały się bardzo śmieszne. To jest właśnie coś takiego, do  
czego nie powinno się przyznawać, ale to z powodu nieprzy-  
znawania się do takich rzeczy *corrida* nigdy dotąd nie została  
objaśniona.

Kiedy piszę te słowa, wspomniane wypadki trzewne nie są  
już elementem hiszpańskiej *corridy*, ponieważ pod rządami  
Prima de Rivery postanowiono, że końskie brzuchy będzie się  
chronić czymś w rodzaju pikowanych materacy, zaprojekto-  
wanych zgodnie z zapisem dekretu „w celu uniknięcia owych  
strasznych widoków, które takim obrzydzeniem napawają cu-  
dzoziemców i turystów”. Wspomniane ochraniacze pozwalają  
co prawda uniknąć rzeczonych widoków i bardzo zmniejsza-  
ją liczbę koni ginących na arenach *corrid*, ale w najmniejszym  
stopniu nie zmniejszają bólu ani cierpienia koni, odbierają zaś  
wiele waleczności bykowi, czym zajmę się w jednym z dalszych  
rozdziałów, i są pierwszym krokiem na drodze do podcięcia  
skrzydeł *corridzie*. *Corrida* to hiszpańska instytucja; dotych-  
czas istniała nie z powodu cudzoziemców i turystów, tylko  
zawsze pomimo nich, a każdy krok zmierzający do jej mody-  
fikacji dla zyskania ich aprobaty, której *corrida* nigdy się nie  
doczeka, to krok w kierunku jej całkowitego wyplenienia.

Powyższych słów o czyjejś indywidualnej reakcji na konie  
na arenie *corridy* nie napisano z powodu jakiejś chęci autora  
do pisania o sobie i swoich własnych reakcjach w mniemaniu,  
że są one ważne, ani w ramach rozkoszowania się nimi jako  
należącymi do niego samego, ale raczej by dowieść, że reakcje  
te są natychmiastowe i niespodziewane. Nie nabrałem obojęt-  
ności względem losu koni przez bezduszne oglądanie czegoś

po wielokroć, czego skutkiem bywa niewzruszoność uczuć. Nie była to kwestia stłumienia emocji w wyniku oswojenia się z czymś. Jakichkolwiek emocji bym nie czuł w stosunku do koni, te same czułem, gdy po raz pierwszy widziałem walkę z bykami. Można by sugerować, że stałem się nieczuły wskutek przyglądania się wojnie albo bycia dziennikarzem, ale nie tłumaczyłoby to, dlaczego inne osoby, które nigdy nie widziały wojny czy dosłownie żadnego fizycznego okropieństwa ani też nigdy nie pracowały nawet w – powiedzmy – porannej gazecie, wykazują dokładnie takie same reakcje.

Uważam, że tragedia walki z bykami jest tak dobrze uporządkowana i tak mocno zdyscyplinowana przez rytuał, że ktoś odczuwający całość tej tragedii nie umie wyodrębnić z niej pomniejszej tragikomedii konia, aby odebrać ją emocjonalnie. Jeśli wyczuwa sens i cel całości, nawet kiedy nic o niej nie wie, jeśli czuje, że to coś, czego nie rozumie, właśnie się dzieje, to sprawa koni nie jest niczym więcej niż tylko epizodem. Jeśli jednak ktoś nie ma poczucia całej tragedii, naturalne jest, że będzie reagować emocjonalnie na epizod najbardziej malowniczy. Równie naturalne jest, że jeśli ktoś jest humanitarystą albo animalitarystą (co za słowo!), nie będzie mieć poczucia tragedii, tylko wykaże reakcję z przyczyn humanitarnych lub animalitarnych, zauważając, że najbardziej jawnie maltretowaną istotą jest koń. Jeśli ktoś taki szczerze identyfikuje się ze zwierzętami, będzie okropnie cierpiał, może nawet bardziej niż koń; ponieważ człowiek, któremu zdarzyło się odnieść ranę, wie, że towarzyszący jej ból zaczyna się odczuwać dopiero w jakies pół godziny po jej odniesieniu i że nie jest on proporcjonalny do jej potworności; ból rany brzusznej nie pojawia się od razu, lecz później, wraz z zatrzymaniem gazów i początkami zapalenia otrzewnej; za to naciągnięte wiązadło albo złamana

kość bolą od razu i straszliwie; ale o tych rzeczach nie wie lub też je ignoruje ktoś, kto identyfikuje się ze zwierzęciem, i ktoś taki będzie cierpieć autentycznie i okropnie, dostrzegając tylko ten aspekt corridy, podczas gdy na widok konia, który okulał podczas gonitwy z przeszkodami, nie będzie cierpieć wcale i uzna ten fakt za ledwie godny ubolewania.

O *aficionado*, czyli miłośniku walk z bykami, można by zatem powiedzieć, że jest to, najogólniej rzecz ujmując, ktoś, kto ma wspomniane poczucie tragedii i rytualnego charakteru walki, przy którym pomniejsze elementy nie są ważne, chyba że w ich odniesieniu do całości. Jest to coś, co albo się ma, albo nie, podobnie jak, i niczego tym porównaniem nie sugeruję, albo się ma wprawne ucho, czyli dobry słuch muzyczny, albo nie. Bez wprawnego ucha głównym wrażeniem widza i słuchacza obecnego na koncercie symfonicznym mogą się okazać ruchy kontrabasistów, podobnie jak widz obecny na walce z bykami może zapamiętać z niej tylko oczywistą groteskowość jednego z pikadorów. Ruchy grającego na kontrabasie są również groteskowe, a wydobywane przez niego dźwięki częstokroć, jeśli usłyszy się je osobno, bezsensowne. Gdyby widz na koncercie symfonicznym był takim samym humanitariantem, jakim mógłby być na corridzie, znalazłby zapewne równie wiele możliwości pożytecznego działania przy polepszaniu warunków płacowych i życiowych kontrabasistów w orkiestrach symfonicznych, co przy poprawianiu sytuacji biednych koni. Będąc jednakże, przypuśćmy, że jest, człowiekiem obytym i wiedząc, że orkiestry symfoniczne są czymś całkowicie dobrym i do przyjęcia w całej rozciągłości, nie odczuwa pewnie w ogóle żadnych innych reakcji niż zadowolenie i aprobatę. Nie uważa kontrabasu za element oddzielony od całości orkiestry ani podległy grającemu na nim człowiekowi.

Podobnie jak w przypadku każdej sztuki, czerpana przyjemność wzrasta wraz ze znajomością sztuki, ale ludzie wiedzą od pierwszego razu na corridzie – jeśli tylko pójdą na nią bez uprzedzeń i będą czuć tylko to, co naprawdę czują, a nie to, co według swojego mniemania czuć powinni – czy walki z bykami będą im się podobać czy nie. Mogą im się zupełnie nie podobać niezależnie od tego, czy dana walka poszła dobrze, czy źle, i wszelkie tłumaczenia okażą się bezsensowne wobec oczywistej moralnej naganności walk z bykami, podobnie jak wtedy, gdy ktoś odmawia wina, które mogłoby mu smakować, ponieważ nie uważa samego picia wina za rzecz słuszną.

Porównanie z piciem wina nie jest tak naciągane, jak mogłoby się wydawać. Wino to jedna z najbardziej cywilizowanych rzeczy na świecie i jedna z rzeczy naturalnych, które doprowadzono do największej perfekcji, oferująca szerszą gamę doznań dla naszej przyjemności i oceny krytycznej niż prawdopodobnie każda inna czysto zmysłowa rzecz, jaką można kupić. Można poznawać wina i zajmować się kształtowaniem swego gustu w tym zakresie z wielkim upodobaniem przez całe życie, nabierając z czasem coraz większej wybredności podniebienia i zdolności do analizy, tak że będą w człowieku narastać wyrobienie i przyjemność towarzyszące picciu wina, mimo że mogą mu osłabnąć nerki, może go zacząć boleć duży paluch u nogi, mogą mu sztywnieć stawy palców rąk, aż wreszcie, akurat kiedy wino będzie mu się podobać najbardziej, może mu zostać całkowicie zakazane. Podobnie jest z okiem, które początkowo stanowi jedynie dobry, zdrowy narząd, a z czasem, choć nie jest już tak silne, tylko osłabione i zmęczone brakiem umiaru, staje się zdolne do przekazywania mózgowi coraz to większej i większej radości z powodu nabytej wiedzy lub zdolności postrzegania. Ciało każdego z nas jakoś się zuży-

wa, a w końcu umieramy, ale wolę mieć podniebienie, które da mi przyjemność radowania się w pełni smakiem châteaux margaux albo haut-brion, nawet jeśli wskutek ekscesów, na które pozwalałem sobie w jego kształceniu, dysponuję wątrową, która nie pozwoli mi pić richebourga, cortona czy chambertina, niż nadal mieć organy o wytrzymałości stalowej blachy z czasów mojej młodości, kiedy wszystkie czerwone wina smakowały gorzko, z wyjątkiem porto, a picie jako proces oznaczało wyżłopanie wystarczającej ilości czegokolwiek, co doda człowiekowi brawury. Chodzi o to, rzecz jasna, żeby uniknąć konieczności całkowitej rezygnacji z wina, tak jak w przypadku oka chodzi o to, żeby uniknąć ślepoty. Ale o wszystkich tych sprawach w dużym stopniu decyduje łut szczęścia i żaden człowiek mimo wszelkich starań nie da rady uniknąć śmierci ani stwierdzić, ile użytkowania zniesie dowolna część jego ciała, dopóki jej nie wypróbuje.

Najwyraźniej trochę odeszliśmy od corridy, ale chodziło mi o to, że ktoś, kto pogłębia swoją wiedzę i kształci percepcję, może czerpać niekończącą się przyjemność z wina, podobnie jak czyjes upodobanie do walk z bykami może wzrastać, aż stanie się jednym z największych zamiłowań, a mimo to człowiek, który po raz pierwszy pije, nie degustuje czy smakuje, ale p i j e wino, zrozumie, nawet jeśli nie obchodzi go smak lub nie poczuje smaku, czy podoba mu się jego skutek, czy nie, i czy mu ono służy, czy nie. W przypadku wina większość ludzi woli na początku odmiany słodkie, sauternes, graves, barsac, i wina musujące, takie jak niezbyt wytrawne szampany i musujące burgundy, z powodu ich barwnego charakteru, podczas gdy później zamieniały je wszystkie na lekką, ale treściwą i wyborną odmianę grand crus z regionu Médoc, nawet jeśli będzie w zwykłej butelce bez etykiety, niezakurzonej i niepokrytej

pajęczyną, bez żadnej malowniczości, i nie zaoferuje pijącemu nic poza swoją szczerością, smakiem i lekkością bukietu na języku, chłodem w ustach i ciepłem po wypiciu. Podobnie w walkach z bykami: na początku widzom podobają się malowniczość *paseo*, koloryt scen, barwność *faroles* i *molinetes*, to, jak torero gładzi dłonią pysk byka, jak głaszcze jego rogi, i wszystkie tego typu bezcelowe i romantyczne zagrania. Cieszą się na widok czegoś, co chroni konie, skoro oszczędza to bardziej niezręcznych widoków, i przyklaskują wszelkim tego typu zachowaniom. W końcu, kiedy nauczą się cenić sobie wartości na podstawie doświadczenia, zaczynają szukać uczciwości, prawdziwego, a nie zafałszowanego uczucia i zawsze klasycyzmu i czystości w wykonywaniu wszelkich *suertes* i, tak jak to bywa ze zmianą gustu co do wina, nie chcą więcej słodzenia, tylko wolą oglądać konie bez ochronnych okryć, tak by było widać wszystkie rany i by zadawana była śmierć, a nie cierpienie spowodowane przez coś, co zaprojektowano, by dać koniom cierpieć, a oszczędzić oglądania ich cierpienia widzom. Ale, podobnie jak z winem, kiedy spróbujecie tego po raz pierwszy, będziecie wiedzieć, czy wam się to podoba w sensie ogólnym, czy nie, na podstawie tego, jak to na was wpłynie. Pewne cechy *corridy* przemawiają do wszelkich gustów i jeśli wam się nie spodoba, ani w żadnym aspekcie szczegółowym, ani całościowo, bez zwracania uwagi na szczegóły, wówczas nie jest ona dla was. Byłoby oczywiście przyjemnie tym, którym się *corrida* podoba, gdyby ci, którym się nie podoba, nie czuli, że muszą wypowiadać jej wojnę albo wydawać pieniądze na starania o jej zakazanie, ponieważ ich obraża lub im nie dogadza, ale to zbyt wygórowane oczekiwania i każda rzecz zdolna do wzbudzania namiętności na swoją korzyść niewątpliwie potrafi wzbudzać równie dużo namiętności przeciwko sobie.

Istnieje ryzyko, że pierwsza walka z bykami, na jaką wybierze się dowolny widz, nie będzie dobra pod względem artystycznym; aby tak się stało, potrzeba dobrych torerów i dobrych byków; torerzy artyści w zetknięciu ze słabymi bykami nie sprawiają, że walki będą ciekawe, bo matador umiejący robić z bykiem niesamowite rzeczy, zdolne wywołać w widzu najbardziej intensywne emocje, nie spróbuje ich z bykiem, na którego szarżę nie może liczyć; dlatego też, jeśli byki są złe, czyli nie waleczne, lecz jedynie zjadłe, zawodne w szarżowaniu, skryte i nieprzewidywalne w atakach, to najlepiej, żeby walczyli z nimi matadorzy, którzy charakteryzują się nie umiejętnościami artystycznymi, lecz znanstwem swojej profesji, etyką zawodową i latami doświadczenia. Tacy walczący są zdolni do kompetentnego występu z trudnym zwierzęciem, a z powodu dodatkowego zagrożenia ze strony byka oraz umiejętności i odwagi, jakie muszą wykorzystać do przezwyciężenia tego zagrożenia, do przygotowania się do zabicia byka i do dokonania tego z choćby minimum godności, ich walka jest ciekawa nawet dla kogoś, kto nigdy wcześniej żadnej walki nie widział. Jeśli jednak takiemu matadorowi, zręcznemu, znającemu się na rzeczy, dzielnemu i kompetentnemu, ale pozbawionemu geniuszu czy choćby większego natchnienia, zdarzy się otrzymać na arenie prawdziwie walecznego byka, takiego, który szarżuje w prostej linii, który reaguje na wszystkie przywołania torera, który mimo kłucia piką tylko zyskuje na waleczności i ma tę techniczną cechę, którą Hiszpanie nazywają „szlachetnością”, matador zaś dysponuje tylko męstwem i uczciwymi umiejętnościami w przygotowaniu się do zabijania i w zabijaniu byków, ale nie ma nic z owej magii nadgarstków ani wizji estetyki, które – przy założeniu, że byk szarżuje w prostej linii – legły u podstaw posągowej sztuki współczesnej corridy; wówczas ponosi całkowitą klęskę, daje

uczciwy, lecz przeciętny występ i schodzi niżej w rynkowym rankingu matadorów, podczas gdy mężczyźni na widowni, zarabiający może mniej niż tysiąc peset rocznie, mówią, i to szczerze: „Dałbym stówę, żeby zobaczyć z tym bykiem Cagancha”. Cagancho to Cygan, podatny na ataki tchórzostwa, zupełnie pozbawiony etyki zawodowej, który gwałci wszelkie pisane i niepisane zasady postępowania matadora, ale który, kiedy otrzyma byka budzącego w nim zaufanie, a byki bardzo rzadko budzą w nim zaufanie, potrafi robić rzeczy robione przez wszystkich torerów w sposób, w jaki nikt ich nigdy nie robił, a czasami, stojąc w absolutnym wyproście i ze stopami bez ruchu, wrosnięty w ziemię jak drzewo, z arogancją i gracją Cyganów, której każda inna arogancja i gracia zdają się tylko marną imitacją, przesuwając przed byczym pyskiem kapę rozpostartą na całą szerokość niczym kliwer jachtu tak wolno, że sztuka walki z bykami, której nie zalicza się do głównych sztuk pięknych wyłącznie z powodu jej nietrwałości, w aroganckiej powolności jego veronik staje się, na te pozorne minuty ich istnienia, czymś trwałym. To kwiecistość stylu najgorszego sortu, ale jest niezbędna przy próbie wyrażenia odczucia; komuś, kto nigdy tego nie widział, prosty opis metody tego odczucia nie przekaże. Każdy, kto widywał walki z bykami, może darować sobie tego typu kwiecistości i zapoznać się z faktami, które są o wiele trudniejsze do wyodrębnienia i stwierdzenia. Fakty są takie, że wspomniany Cygan, Cagancho, potrafi niekiedy, dzięki tym swoim cudownym nadgarstkom, wykonywać manewry niebędące w corridzie niczym niezwykłym tak powoli, że stają się one w porównaniu z corridą dawnego typu tym, czym film w zwolnionym tempie wobec zwykłego filmu. To tak, jakby człowiek skaczący do wody umiał zapanować nad swoją prędkością w powietrzu i przedłużyć wizję skoku jaskółką, w rzeczywistości gwałtownego jak

szarpięcie, choć na fotografiach wydaje się długim ślizgiem, i przekształcić go w długi ślizg, przypominający jaskółki i skoki, jakie czasami wykonujemy w snach. Inni torerzy, którzy mają bądź mieli taki talent w przegubach dłoni, to Juan Belmonte oraz, od czasu do czasu w kapą, Enrique Torres i Félix Rodríguez.

Widz idący na walkę z bykami po raz pierwszy nie może się spodziewać, że zobaczy kombinację idealnego byka i idealnego dla tego byka matadora, która może zdarzyć się nie częściej niż dwadzieścia razy w całym hiszpańskim sezonie, i byłoby źle, gdyby zobaczył ją za pierwszym razem. Byłby tak zdezorientowany, wizualnie, przez mnogość oglądanych rzeczy, że nie mógłby ogarnąć tego wszystkiego wzrokiem i coś, czego być może nie zobaczyłby już nigdy więcej w życiu, nie znaczyłoby dla niego więcej niż zwykły występ. Jeśli istnieje jakaś szansa, że walki z bykami mu się spodobają, najlepsza walka, jaką powinien zobaczyć jako pierwszą, to walka przeciętna: dwa waleczne byki na sześć, żeby cztery niczym się niewyróżniające dały wytchnienie od dwóch świetnych; trzech matadorów niezbyt wysoko wynagradzanych, żeby wszelkie niezwykłości ich autorstwa wyglądały na trudne, a nie na łatwe; miejsce na widowni niezbyt blisko areny, żeby oglądać spektakl w całości, zamiast musieć go stale rozbijać na byka i konia, człowieka i byka, byka i człowieka, co zdarza się, jeśli się siedzi zbyt blisko; i gorący, słoneczny dzień. Słońce jest bardzo ważne. Teorię, praktykę i widowisko walki z bykami zbudowano w całości na założeniu obecności słońca i jeśli ono nie świeci, brakuje ponad jednej trzeciej *corridy*. Hiszpanie powiadają: *El sol es el mejor torero* – „Najlepszym torerem jest słońce” – a bez słońca najlepszy torero jest niewidoczny. Jest jak człowiek pozbawiony cienia.